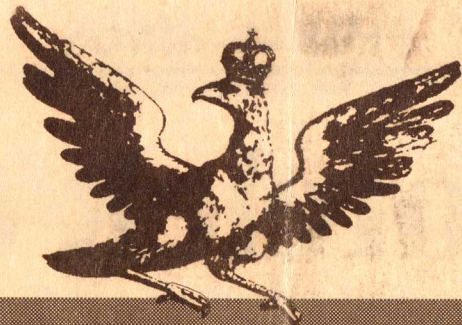


„Musimy przystać na to, że jesteśmy średniej wielkości państwem opóźnionym w marszu, na styku Cywilizacji Zachodniej (zbudowanej przez kraje wchodzące ongi w skład Imperium Romanum — Italię, Francję, Hiszpanię, Brytanię) i Cywilizacji Słowiańsko—Bizantyjskiej, i wyciągnąć z tego korzyści, miast próbować przeskoczyć czas, który nie do nas należy. Nie jesteśmy w tej sytuacji odosobnieni. Podobnie opóźniony start miały Czechy, Węgry, Niemcy Wschodnie (za Łabą) i Skandynawia. Ale ten fakt z przeszłości nie przekreśla szans na przyszłość.”

Jadwiga Żylińska w art. „Jacy tacy” „Tygodnik Powszechny” nr 18/1993 r.



+ PLUS — MINUS

Dodatek tygodniowy nr 16, sobota — niedziela 8 — 9 maja 1993 r.

Ratowanie śladów

Rozmowa z Zygmuntem Nissenbaumem

Przypomniałem sobie słowa matki, gdy stojąc ze mną w grupie kierowanej do gazu nalegała, abym ratował życie i zaświadczył później o dokonanych zbrodniach. Wtedy narodziła się myśl utworzenia Fundacji, która będzie zajmowała się ratowaniem tego z kultury żydowskiej w Polsce, co jeszcze można uratować.

Patrz str. 11

Oblicza prawdy

Z prof. Krystyną Kerstenową rozmawia Anna Baniewicz

Jednym z postulatów „Solidarności” była nie tylko wolność, ale i prawda o historii, jej „odkłamywanie”. Dziś to wszystko jest możliwe. Niektórzy nawet, wobec „nadmiaru” prawd historycznych, mają kłopoty z ich uporządkowaniem. Może na wstępie: czy prawda buduje się z wielu cząstkowych prawd historycznych, różnych ludzkich wizji historii?

— Historia, dzieje, tworzą określoną, koherentną całość. Nie ma przeto wielu prawd o przeszłości: jednostki, grupy, narodu, państwa, cywilizacji, ludzkości wreszcie. Istnieje jedna prawda, można powiedzieć, jeden wzorzec, w jaki układają się procesy historyczne. Historyk konstruuje go z wielu dostępnych elementów wiedzy o tym, co było, z wielu prawd cząstkowych. Można to, upraszczając, porównać do układania puzzli, z tą zasadniczą różnicą, że nie dysponujemy gotowym obrazem, wedle którego składamy owe cząstki: nigdy też nie będziemy znali wszystkich segmentów minionego czasu. W praktyce, co prawda, bardzo często selekcjonuje się fakty historyczne, interpretuje je i porządkuje wedle zasad i prawideł zakorzenionych w ideologii, doktrynie, teorii. Prowadzi to najczęściej do zniekształcenia poznania historycznego, do kreowania „prawd” jednostronnych, uwikłanych w różnego typu zaangażowania. Oskarża się historyków, że piszą ad usum Delphini — na użytek władców, władzy. Tak bywa, ale jestem głęboko przekonana, że większe zagrożenia dla procesu dochodzenia do bezstronnej wiedzy o przeszłości płyną z innej strony. Aby się oprzeć naciskom władców, trzeba tylko odwagi, czasem dużej dozy odwagi, by narażać się na nielaskę, zrezygnować z kariery czy wręcz możliwości pracy naukowej. Dużo trudniej jest przeciwstawić się nakazom i zakazom, jakie wynikają z przynależności, z identyfikacji ze wspólnotą, czy to będzie wspólnota narodowa, religijna czy też ideowo-polityczna. Wtedy rodzi się rzeczywisty konflikt wartości: wierność prawdzie zdaje się naruszać wierność wspólnotce, kolidować z jej interesem. I wówczas powstaje pokusa, by, parafrazując słowa Norwida, „kłaść się okolicznościom, a Prawdom kazać by za drzwiami stały; przydawać laury starym znajomościom, myśleć, że dziejów — rytm zagłusza cymbały”. Pokusa, by pisać ad usum narodu, partii, Kościoła...

— A jakiej w gruncie rzeczy prawdy o historii chcieli społeczeństwa, gdy domagało się jej „odkłamania”? I jakie dziś chce prawdy?

— Chciało, w swoim przekonaniu, po prostu prawdy, całej prawdy i tylko prawdy, wierząc, iż prawda jest ona z racjami i emocjami, a także z wartościami wpisanymi w wielki narodowo-wolnościowy zryw z 1981 roku. Domagało się odkłamania historii, przywrócenia wydarzeń, postaci pomijanych lub zafałszowanych, zerwania z eżowym językiem i nowomową. Miała być wreszcie powiedziana prawda o roku 1920, pakcie Ribbentrop—Molotow, okupacji radzieckiej, deportacjach, Katyniu, o powojennych dziejach Polski. Miała nastąpić „rehabilitacja” takich postaci jak Piłsudski, Dmowski, generał Okulicki, generał Anders, takich organizacji jak NSZ. Pamiętam jak na spotkaniach pytano mnie: kiedy wreszcie zacznie się pisać o bohaterach partyzantów z WIN i NSZ, a przestanie słać GL czy AL? To pragnienie prawdy w praktyce było i jest pragnieniem odnalezienia w historii pokarmu dla racji, emocji i wartości: narodu, grupy społecznej, ruchu politycznego, ideologii, z którą identyfikuje się zbiorowość czy jednostka. Można to doprowadzić do absurdu: w jednej ze szkół w Kanadzie zastano użyć historii, w przekonaniu, że „prawda”, dajmy na to Anglików, będzie inna niż Francuzów czy Indian. Ja też pisałam o „prawdzie” Żydów, odmiennie od „prawdy” Polaków. Oczywiście — o „prawdzie” tak jak się ją pojmuje w myśleniu potoczny, a nawet głębiej, o tej, jaka jest zakodowana w zbiorowej pamięci, w tradycji, w świadomości historycznej. Lechoń zauważa w swoim dzienniku (na marginesie zasłyszanej krytycznej opinii o zachowaniach ziemiaństwa podczas wojny), „Czy kiedykolwiek widziałeś na jaw prawdę o tej już tak narszej w nasze uczucia legendarnej? I czy nie ma już właściwie wielu prawd, tytułu ich na różniące się i najsprawniejszych doświadczeń?”. Historykowi, oczywiście, nie wolno relatywizować. Musi być natomiast świadom, że poznanie „jak to było naprawdę”, niezbędne dla krytycznego myślenia i prawidłowej samooceny, dla rozumienia świata, koliduje niejednokrotnie ze zbiorowymi sądami i wyobrażeniami.

— Czy można jednak w jakiś sposób scharakteryzować podstawowe cechy społecznego wizerunku naszej przeszłości?

— Uważam, że Polacy mają głęboko zakodowany w swej świadomości syndrom walki i mecenstwa. Zrodził go niewola, zryw powstańczy, dławienie swobód narodowych. Walka o wolność i mecenstwo, tajne spiski i wiezione kazamaty, konspiracje i zsyłki na Sybir, powstania i wychodźstwo — tworzyły duchowy spadek przekazywany z pokolenia na pokolenie. Spadek stał się żywym i odnawianym, bo przecież w ciągu ostatnich 200 lat nie było generacji, która nie stałaby wobec imperatywu napierw walce o odzyskanie niepodległości, potem jej obrony i wreszcie — przez ostatnie półwiecze — oporu przed zniewoleniem. W niepodległościowej tradycji mieściło się poczucie mecenizmu, przekonanie, iż to nad Wisłą zamieszkałe plemię wyróżnia się przywiązaniem do wolności, co więcej, gotowe jest walczyć o wolność nie tylko dla siebie, ale i dla innych. Nie było tu miejsca dla nie-wygodnych prawd, podważających ową wyidealizowaną autostereotyp. Od historii oczekuje się więc potwierdzenia i utrwalenia „prawdy” o bohaterstwie, mecenstwie, zdradzie ze strony sojuszników. Niewygodne prawdy — już bez cudzysłowu — przyjmowane są często z niechęcią. Jest to właściwie sytuacja zagrożenia, obłożonej twierdzy, kiedy wszystko podporządkowane jest obronie. Historia stanowi istotny element narodowej tożsamości, toteż historyk niezdolny, świadomie czy nieświadomie, jest uwikłany w zmagania ze zniewoleniem. Bywa na przykład tak, że zbada-ny i ujawniony przezeń fragment dziejów jest wkładany w fałszywy kontekst. Wybór zatem między złem — przemilczaniem prawdy, i złem — mimowolnym przysłużeniem się kłamliwej propagandzie czy złorowej polityce — jest jednym z najtrudniejszych wyborów, przed jakimi staje historyk.

— ... czy tak do dziś popularna spiskowa teoria historii?

— Tak, poniekąd, choć ta nie jest li tylko produktem PRL. Ale indoktrynacja i społeczna demoralizacja naruszyły przede wszystkim tkankę społeczną, w małym stopniu dotykając świadomości narodowej, postaw i zachowań na poziomie narodu. Bardziej niż kiedykolwiek w przeszłości jesteśmy, mówiąc słowami Norwida, „społecznością narodu”, który „o tyle jako patriotyzm wielki jest, o ile jako społeczeństwo jest żaden”. Jesteśmy — pisał Norwid — „zadnym społeczeństwem”. W świadomości społecznej w stosunku do historii nie nastąpiły zatem istotne przeobrażenia. Zresztą, nawet w ramach oficjalnych, miłośnych przeniesienia utrwalonych struktur mentalnych i emocjonalnych, zwłaszcza owego heroiczno-martyrologicznego syndromu. Tylko że teraz eksponowano walkę i mecenstwo rewolucjonistów i komunistów. Piłsudskiego zastąpił Waryński.

— Mimo różnego typu wartości, jakie przypisywano tym postaciom. Pamiętam, jak „Elegie o śmierci” nieszczerzonego Ludwika Waryńskiego śpiewało się na skocznej nutę, wyszydając owe „do mas, do roboty, do partii”. Ale chyba rzeczywiście ma pani rację, mówiąc o swoistej internalizacji przez komunistów owego syndromu. Kto wie — może on również w jakiś sposób inspirował „okrągły stół”?

— Ten kod jest tak silnie utrwalo-ny, że i dziś, gdy wybiłszy się na pełną niepodległość i suwerenność, i gdy — poki co — nikt i nic, poza naszymi własnymi słabościami i przysarami, nam nie zagraża, nadal stosunek do historii narodowej określony jest w dużym stopniu przez pryzmat heroizmu i martyrologii Polaków. To psychologicznie (a często także ideologicznie i politycznie) uwarunkowane podejście bierze górę nad dążeniem

— Było jednak bardzo wiele przykładów zachowań, które można sklasyfikować jako białe i czarne.

— Oczywiście, nie ma żadnego usprawiedliwienia dla oprawców oraz tych, którzy tolerowali zbrodnie. Co to jednak znaczy „tolerowali” w warunkach braku suwerenności, skazania na dominację radziecką, szantażów ze strony Moskwy? Wchodzimy tu na obszar bardzo grząski, pisałam już zresztą kiedyś o tym w „Gazecie Wyborczej”. Na szczęście, wyznaję pogląd, że historyk nie powinien być sędzią, prokuratorem czy obrońcą, jego zadaniem jest przygotowanie „dokumentów w sprawie”. Zresztą, sprawiedliwy sąd też bierze pod uwagę wszystkie okoliczności — tu właśnie ogromna jest rola badacza. Nie wierzę, co prawda, w tzw. „osąd historii” — jak wiadomo werdykt się zmieniają, zależnie od wartości wyznawanych w danej epoce czy w danej zbiorowości. Wezmę choćby np. ostatni spór o Kolumbę czy rewolucję francuską lub u nas o ocenę państwa PRL.

— Takich trudnych problemów jest wiele; ostatnio toczy się również dyskusja na temat Narodowy Śół Zbrojnych.

— Tak, to znamienny przykład. Historycy, „wywołani do tablicy” przez

nistami), gineli z rak NSZ. Tej prawdy nie sposób negować, tyle że Żydzi gineli nie jedynie z rak NSZ; polskie lasy w ogóle nie były dla Żydów bezpieczne. Podczas wojny ukrywające się grupy osób zbiegłych z gett nie znajdowały na ogół schronienia w oddziałach partyzanckich i nieraz zwalczane były jako „bandy rabunkowe”. Nie ma też podstaw, by twierdzić, że po wojnie pogromy czy mordy dokonywane na Żydach, były w głównej mierze dziełem NSZ. Istnieje niewątpliwie związek między głoszoną ideologią antysemitką a czynem, ale to nie wystarczy, by uznać NSZ jako organizację programowo mordującą Żydów. Zresztą, w oczach niektórych skrajnych środowisk żydowskich, jako żydożerca i mordująca Żydów jawi się także Armia Krajowa, o czym mogłam się przekonać choćby podczas spotkania w Montrealu, 3 lata temu. Sprawa zabijania Żydów przez grupy związane z polskim podziemiem w czasie wojny i po wojnie, musi być zbadana, muszą zostać ustalone fakty, okoliczności i odpowiedzialność za zbrodnie. Dziś na przykład już wiemy, że obarczanie NSZ winą za zamordowanie małżeństwa Makowieckich i Ludwika Wider-sza było nieuzasadnione. Ie jest np. prawdy w twierdzeniu środowiska NSZ, iż „pewne czynniki, zainteresowane w tepieniu i niszczeniu Żydów nadużywały nazwy NSZ”? Jak na tym



FOT. JACEK DOMIŃSKI

do pełnego, dogłębnego poznania i zrozumienia dziejów.

— Taki wizerunek własnej historii niezmienił jednak chyba utrudnia dostosowanie do normalności, do jej budowania.

— O tak, na pewno w tym przeszkadza.

— Wydaje mi się również, że wspomniana przez panią wizja historii stanowi przeszkodę w trudnej cząstce oceny przeszłości ostatnich 45 lat — chodzi mi o tę „szarą sferę” między bohaterstwem a przestępstwem, np. o problem konformizmu tzw. ostryżnych — nie ubrudzonych.

— Postawy Polaków po 1945 r. widzę jako wynik nakładania się na siebie, w różnych proporcjach i rozmaitych formach, z jednej strony — przystosowania do narzuconego porządku, z drugiej zaś — oporu. Mogł to być, zwłaszcza w latach czterdziestych i pięćdziesiątych — osiemdziesiątych, opór świadomy, czynny. Mogły być też zachowania wallenrodzkie, ale także oporność na poziomie podstawowym, wynikająca z ciśnienia polskiej tkanki kulturowej, z przywiązania do wiary ojców. Kościół odgrywał tu bez wątpienia ogromną rolę. Niebagatelne było znaczenie kultury europejskiej z jej tradycjami zakorzenionymi w Grecji i Rzymie, w chrześcijaństwie i w nowożytnym racjonalizmie. Wiele też było postaci nieuchronnie uwikłanych, tak czy inaczej, mniej lub bardziej, we współdziałanie z systemem, we współpracę z komunistami. Przykładem może tu być postawa hierarchii kościelnej, polityka poszukiwania modus vivendi z komunistycznym państwem, która nawet w najtrudniejszym czasie apogeum stalinizmu prowadziła pry-mas Wyszyński, do momentu, gdy trzeba było powiedzieć „nie” potestum. Dążono więc do wbudowania wartości narodowych, katolickich, humanistycznych w ramy systemu, do unarodowienia partii i państwa, do wywalczenia miejsca dla Kościoła, instytucji katolickich, prasy katolickiej, do poszerzenia pola wolności. Kwestia oceny różnych zachowań, owych rozliczeń jest bardzo trudna. Tym trudniejsza, że splatają się tu ze sobą czynności gra polityczna i autentyczna potrzeba sprawiedliwości.

media, nie są dziś w stanie sprostać zadaniu, jakim jest przedstawienie pełnego obrazu działalności NSZ, pozbawionego retuszów, niedomówień czy przejaśnień. Wiemy dosyć o ideologii NSZ, natomiast dane niepełne jest nasza wiedza o ich koncepcji walki, działaniach zbrojnych przeciw Niemcom i komunistycznemu podziemi, stosunku do AK, zwłaszcza również o kontaktach niektórych ogniw związanych z NSZ z Niemcami, jak też, last but not least, o najbardziej może zapałnej sprawie akcji antyżydowskich.

Mamy więc „złotą” legendę NSZ i „czarną” legendę NSZ, zabijających Żydów, winnych walk bratobójczych. Prawda o NSZ czeka na swojego dziejopisę: bezstronnego i — co nie mniej ważne — fachowego, umiejącego krytycznie interpretować zarówno materiały procesów sądowych, jak i relacje czy wspomnienia. Staram się uchylać od wypowiedziania się o NSZ jako historyk, nie w braku odwagi czy asekuranctwa, ale dlatego, że nie jestem w stanie przeciwstawić owym dwóm legendo-m NSZ pełnej prawdy o tym „jak naprawdę było”. Ideologia tej formacji: jej wizja Polski jako nacjonalistycznego państwa, w którym tylko członkowie „organizacji narodu” posiadali pełnię praw obywatelskich, antydemokratyzm, programowy antysemityzm, wszechobecne upiory ukrytych wojen: demoliterstwo, maso-nizm, Żydokomuny, zmierzających do zniewolenia narodu polskiego — ta ideologia była, w moim przekonaniu, złowroga. Ale wielu innym mogła (i może) się zdawać zgodną z ich porządkiem wartości. Tyle tylko, że czując pamięć NSZ trzeba jasno i wescz-stronnie przedstawić ich oblicze ideowe i działania, jeśli uznajemy, że obok wartości określonych kulturowo i wynikających z wyznawanej filozofii czy ideologii, istnieją uniwersalne normy, wpisane w człowieczeństwo. Żadna ideologia nie może usprawiedliwiać mordowania bezbronnych dlatego tylko, że są innej wiary czy narodowości.

— Czy jednak uprawnione jest twierdzenie, że NSZ mordowały Żydów?

— Czy NSZ mordowały Żydów? Z tego, co dziś wiadomo, w czasie wojny, a także i po jej zakończeniu, zabijanie Żydów jako Żydów, nie leżało w ich programie. Ale bywało, że i w czasie wojny, a zwłaszcza po wojnie, Żydzi (i to nie tylko ci związani z komu-

nie przedstawiają się działania Huberta Jury i jego organizacji, mającej powiązania z Niemcami, z którą w lipcu 1944 r. kieleckie dowództwo NSZ nawiązało współpracę? Wszystko to wymaga obiektywnych badań.

— Chciałabym zapytać na koniec o prognozę pani profesor co do kierunku ewolucji naszej świadomości historycznej, a może nawet narodowej tożsamości. Czy jest tak, jak twierdzi Stefan Wilkanowicz, że następuje obecnie w Polsce „zanik pewnego typu kultury, z jej charakterystycznym od XIX wieku nurtem chrześcijańsko-patriotyczno-solidarnościowym”? Czy, jak mówią inni, po upadku wielkiej utopii pojawił się może wielki nihilizm? Mnie natomiast wydaje się, że pomimo dziesiętnej, postkomunistycznej kryzysu wartości — istnieje też szansa i pogłębienia wartości: i w wymiarze chrześcijańskim, i patriotycznym, i, również, solidarnościowym.

— Myślę, że w przywołanym przez panią stwierdzeniu Stefana Wilkanowicza, dominuje przeciecznie, że coś dobiega końca. Bo prawda jest, że znajdujemy się dziś w okresie Wielkiej Przemiany. Istnieje niewątpliwie zamęt ideowy, poszukiwanie moralnego porządku. Pojawiają się nowe postawy, które są zaprzeczeniem państwowego czy narodowego instytutu samozachowawczego. W imię „oczyszczenia”, „sprawiedliwości” oskarża się o agenturalność Prezydenta Rzeczypospolitej, człowieka symbolizującego przez wiele lat ruch „Solidarności”. Oskarża się różne autorytety, podważa wartości. Kiedy czytałam opinie wyrażoną przez kardynała Lustigera, iż po wojnie de Gaulle przywrócił Francuzom, upokorzonym współdziałaniem z Niemcami, poczucie godności, myślałam o nas, o Polsce. Świadomość istnienia takiej potrzeby mają różne środowiska, ale efektem ich działań jest pogłębiający się kryzys duchowy. Dotyczy to, paradoksalnie, także tych, którzy najgłośniej krzyczą o wartościach narodowych i chrześcijańskich, uznając się, jak niegdyś komuniści, depozytariuszami jedynej prawdy, próbując ją narzucić społeczeństwu. Tymczasem, na ogół, „prawda” ideologiczna nie pokrywa się z prawdą, do jakiej rzetelny historyk dochodzi w procesie badawczym.

Kraje postkomunistyczne

Klocki geopolityczne

BOHDAN CYWIŃSKI

Przyszłość polityczna Ukrainy, Białorusi, Litwy, Łotwy i Estonii, dalszy historyczny los tych państw, zależny w pierwszym rzędzie od ich własnych narodów — od Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Łotyszów, Estończyków. Sentencja ta brzmi dumnie, nadaje się do użytku w oficjalnych przemówieniach tamtejszych władz państwowych i dyrektorów gimnazjalnych, a mimo to jest chyba nie tylko propagandowym sloganem. Podejrzewam, że jest ona zasadniczo prawdziwa — i stąd płynię mój względny optymizm, z jakim patrzę na borykanie się naszych wschodnich sąsiadów z ich naprawdę nietatnymi kłopotami. Wystartowali z pozycji bardzo słabych, prawie beznadziejnych, ale przy tym wyraźnie zróżnicowanych. Nie prezentują jednej linii ani nawet podobnego stylu walki o przetrwanie. Łączy te pięć państw może tylko to, że uparli się istnieć niepodległe, wbrew głosom wielu pesymistów i niedowiarków, spoglądających na nie z różnych stron świata.

Chciałbym się dziś zająć tą właśnie ostatnią sprawą: jak świat zewnętrzny patrzy na pojawienie się na mapie Europy Wschodniej tych pięciu różnobarwnych plemi, czy — przyzwyczajony do trwałej jednolitości całego tego obszaru — nie traktuje ich jako przesadnej i uciążliwej pstrokaczyny i nie chce powstania nowych państw rozważać w kategoriach wybuchających hipernacjonalistycznych tendencji, jakie pojawiły się na „zachodnich krańcach państwa rosyjskiego”?

Wszelkie wyrażanie opinii na ten temat jest o tyle trudne, że w każdej chwili grozić może pomieszanie rzeczywistych interesów i przypuszczalnych dążeń rozmaitych „podmiotów prawa międzynarodowego” z ich oficjalnymi wypowiedziami dyplomatycznymi, formułowanymi zresztą wspólnie przez użyciu kilku rozmaitych kodów znaczeniowych. Dawanie wiary tym enuncjacjom, zwłaszcza ich literze w tej postaci, w jakiej przenikają one do publicznej wiadomości, byłoby dziecinnie naiwnością: brzmiałyby one niby chóry anielskie, obiecując światu nieustający pokój, pomyślność i dobrobyt. Wyjście przeciwnie też nie jest łatwe: rzeczywiste interesy są przecież utrzymywane w tajemnicy, można się więc jedynie domyślać, czego one dotyczą i jaka jest ich rzeczywista hierarchia. Oparcie się zaś na domysłach równoważne jest z oczywistym dopuszczeniem błędu w ocenie. Niemniej — próbować warto.

Narody mało znane...

Na początek skonstatujmy jedno: żadne z tych państw nie jest dla świata zachodniego na tyle ważne, by jego przyszły los sam przez się stanowił dla jego polityków przedmiot szczególnego zainteresowania. Nie należy się w tym dopatrywać jakiegokolwiek niechęci czy lekceważenia, jest to po prostu niewiedza. Łotwa, Estonia, Białoruś to dla zachodniej opinii nazwy nieledwie puste. Dziwi to kogoś? A czy pamiętacie Państwo powstałego sto lat temu we Francji „Króla Ubu” z jego podtytułową notą autorską: „Rzecz się dzieje w Polsce, czyli nigdzie”? Ostatnie sto lat coś w tym względzie zmieniło, ale nie tak wiele. Państwa bałtyckie istniały w Europie Wersalskiej, kto jednak osmielał się o tym przypomniać przez minione pół wieku? Kto na Zachodzie wie cokolwiek o Białorusi? W nieco, ale też w niewiele, lepszej sytuacji jest na tamtejszym rynku politycznym Ukraina.

Same przez się kraje te ważne są dla swych bezpośrednich sąsiadów — dla Polski, Słowacji, Węgier, Rumunii. Wszyscy inni patrzą na nie jak na byle części Rosji, względnie jak na byle kolonie rosyjskie. Los ludów postkolonialnych, nawet tych, o których wie się jeszcze mniej niż o Białorusinach, budzi we współczesnym świecie zachodnim zasadniczą sympatię. Ich państwowotwórczych aspiracji kwestionować po prostu nie wypada. To natomiast jest bardzo ładną cechą współczesnej kultury europejskiej. Jako emigracyjny działacz solidarnościowym miałem okazję obserwować to wielokrotnie w minionym dziesięcioleciu — i to od Sycylii po Narwik. Wtedy korzystaliśmy z tej uniwersalnej sympatii do narodów wywołujących się — wraz z Chilijczykami i Afganami — także i my. Moze dziś tak samo patrzy się na Ukraińców i Litwinów.

Cały ten wiew ludzkiej sympatii, choć bardzo podnoszący na duchu, nie bywa jednak dość silny, by mieć znaczące skutki polityczne. Można ta droga osiągnąć poparcie skłonnych do międzynarodowej solidarności organizacji wyznaniowych, na interwencję Amnesty International i grup jej pokrewnych na rzecz ludzi przesładowanych i pokrzywdzonych. To dużo, ale to nie załatwi wszystkiego. Najczęściej do ruszenia okazują się rządy, a na płaszczyźnie międzynarodowej — ONZ. Poważna polityka międzynarodowa lubi posługiwać się działaczami społecznymi, a jakże, traktuje ich jednak instrumentalnie, uważa za „oszołomów” i niemal nigdy nie angażuje się w popieranie ich idei. Tak naprawdę może się po pierwsze, raczej stanu poszczególnych państw, a po wtóre — interesy poszczególnych polityków, partii i koterii. Czasami zaś, ale naprawdę tylko czasami, kolelności tych dwóch czynników okazuje się odwrotna.

Nikła wiedza o nowych państwach Europy Wschodniej i mały stopień zainteresowania Iosem ich obywateli nie oznaczają, że światu obojętna jest ich przyszłość. Ich suwerenne istnienie polityczne oznacza bowiem przesunięcie o kilkaset kilometrów na wschód, czyli dalej od Europy, granic państwa rosyjskiego, a także — radykalnie zmniejszenie jego dostępu do mórz nie zamierzających. Innymi słowy — niepodległość Estonii, Łotwy, Litwy, Białorusi, Ukrainy i Moldowii komplikuje trochę problemy Rosji w ogóle, a planom odbudowy dawnego rosyjskiego imperium przeciwdziała w ten sposób drastycznie. Ten aspekt sprawy budzi na świecie rzeczywiste zainteresowanie.

Zapotrzebowanie na Rosję

Rosja jest — dziś zwłaszcza, w momencie zmagania Jelcyna z Chasbulatowem, światową wielką niewiadomą. Niemniej, na Rosję — i to na Rosję wielką i dość silną — jest dzisiaj zapotrzebowanie. Brak bowiem, czy głęboka słabość Rosji, stwarza nową sytuację międzynarodową, nową równowagę, która, dla jednych bardzo wygodna, z tego właśnie względu nie może podobać się innym.

Na nieobecność silnej Rosji zyskują na pewno USA i Japonia. Pierwsze z tych mocarstw staje się automatycznie niekwestionowanym hegemonem w skali światowej, drugie — może spokojnie odechnąć i w lepszym nastroju niż dawniej kontynuować starania o ekonomiczny podbój możliwie wielkiej części świata. Oba te zjawiska nie wszystkich na świecie cieszą, zwłaszcza zaś hegemonia polityczną USA budzi niepokój Europy Zachodniej, od lat przecież dystansująca się od polityki amerykańskiej nawet w obliczu aktualnego jeszcze niebezpieczeństwa sowieckiego. Przypomnijmy sobie burzliwe debaty w całej Europie Zachodniej na temat rozmieszczenia amerykańskich obronnych baz rakietowych, zaledwie dziesięć lat temu...

Można więc przypuścić, że Europa Zachodnia w nowej sytuacji może życzyć sobie obecności Rosji jako mocarstwa — powiedzmy: więcej niż średniego — takiego, które samo całej Europie nie zagrozi, ale z jakim można byłoby tworzyć jakiś nieoficjalny, ale poręczny sojusz, którego oczywiście nikt by antyamerykańskim nie nazwał... Partnerem takiego sojuszu musiałaby być — ze względu na opinie publiczną — Rosja zmierzająca do demokracji i nie nazywana imperium, ale osmielał się wątpić, czy stosowanie przez nią „ostrych nacisków politycznych” na małych i słabo znanych sąsiadów z „Miedzynarodu” byłoby kwalifikowane jako bardzo groźne. Ostatecznie można byłoby tłumaczyć światowej opinii, że z czasów sowieckich nacisk byłaby jeszcze ostrzejszy.

Znakomitym autorem takiej polityki może być Francja, zwłaszcza powstająca właśnie Francja neoprawicowa, która dawne sojusze z Rosją zalicza do świetnych tradycji swej polityki zagranicznej. Ta sama koncepcja może odpowiadać Niemcom, inne państwa zachodnie zaś pójść za nimi siłą rozprędu, przy okazji licząc na zyski ekonomiczne z przyszłego handlu z Rosją. Taki blok, jeśli powstanie, będzie niechętny rozwojowi nierosyjskiej Europy Wschodniej, choć, na przykład, Niemcy mogą chcieć robić na własną rękę interesy na Litwie, Łotwie czy Ukrainie.

